

## LIŚCIE NA WIETRZE c.d.

### Nadzieja

Po długiej, ciężkiej zimie, nasza druga wiosna w tajdze zjawiała się od razu. Biały śnieg zmienił się w żółte bajora i grząskie błoto, wolna od lodów przyroda nadrabiała stracony czas. Powietrze przesycił zapach czeremchy, kwiatów i wszelkiego ziela. Las buzował od ptaków. Byłby to piękny czas, gdyby nie całkowity brak warunków do życia. Ludzie wyglądali jak cienie, osłabieni, chorzy, brudni i obdarci. Rzeczy przywiezione z Polski „poszły” do Siennik za byle jaki kartofel lub cebulę. Tego co zostało nie było czym połatać. Pogubiły się i połamały igły, skończyły się nici.

Zrozumiałam słowo „przednówek”, choć dla nas „przednówek” trwał tutaj okrągły rok. *Posiołek* zamienił się w mętnorude kałuże. Ludzie i konie grzęźli w błocie. Nie było gdzie stąpnąć, by nie wybrudzić nóg po kolana.

Emil wracał z pracy niepodobny do człowieka. Błoto z niego kapało. Mama pomagała zdjąć mu lepiałe się waciaki i mówiła:

– Synku, jak ty wyglądasz, znów koń wyrwalił *tielegę*?

– Znów – odpowiadał nasz mały zgarbiony braciszek łamiącym się od lez głosem.

Nie było gdzie prać, ani gdzie suszyć zabłoconej odzieży. Jedyne piec w baraku oblepiony był brudnymi i ciężkimi od wody kufajkami i waciakami. Rano trzeba było wkładać zaparowaną odzież i iść do katorżniczej roboty. Ludzie przeziębiali się, choro-

wali i umierali.

Zupełnie nie było co jeść. W lecie trochę się polepszało. Tajga dawała z siebie, ile mogła. Leśnym owocom nie było końca.

Pierwsze pojawiły się poziomki, łąny poziomek. Brzegi Obilu czerwieniały od nich; potem były borówki (czarne jagody), maliny (w których częstym gościem bywał niedźwiedź) – duże, soczyste, a obfitość ich nieprzebrana; dalej, niebieskiego koloru tzw. *gotubika* – jagoda podobna do borówki, lecz nieco większa i twardsza. Pod koniec lata brusznica i żurawiny i *moroszka* z liściami jak u maliny, o żółtych, bardzo słodkich owocach, rosnąca na grzędziskach i bagnach.

Na jagody chodziliśmy całą rodziną. Mama brała chleb do koszyka i szła z nami. Nauczona smutnym doświadczeniem nie zostawiała już chleba w baraku. Nasze bańki po miodzie szybko napępniały się jagodami. Siadałiśmy na słonecznej polanie, mama dzieliła między nas kleisty chleb i jedliśmy go z jagodami. Całkowity brak cukru uniemożliwiał zrobienie zapasów na zimę.

Na szczęście tato nie był taki smutny jak w zimie. Siadał między mną a Marysią i opowiadał o sobie, o Legionach, o spotkaniach z Komendantem, a przede wszystkim o Wołyniu. Kochał Wołyń, jakby to była jego rodzinna ziemia. Marzył głośno, co należałoby w gospodarce ulepszyć, zmienić. Wzdychał, że na wiosnę samozwańczyni matka podkrada pszczoły

i ucieka z rojem. O pszczołach mówił i myślał bez końca. Zamyślał się:

– Szkoda, że zrzekłem się swojej ojcowizny w górach, dzieci zostaną bez ziemi. Na Wołyń już pewno nie wrócimy.

Mama pochyliła się i płakała.

W barakach trochę się rozluźniło. Ci, co budowali, pierwsi dostali nowe izby dla swych rodzin. Bardzo zazdrościłam im, że byli sami. My ciągle dzieliliśmy barak z wieloma rodzinami. Co pewien czas przenoszono nas z baraku do baraku, aby przeprowadzić dezynsekcję, ale na pluskwy nie było rady. Pewien Sybirak powiedział, że pluskwa wytrzymuje plus i minus 100° C i przez dwadzieścia lat może wegetować. Jest niezniszczalna.

Na Obil przychodziły listy z Polski. Ludzie pisali do krewnych otrzymywali listy i paczki. My też pisaliśmy do dziadunia o swojej nędzy, o głodzie, o chorobach, ale długo nie było żadnej odpowiedzi ani paczki. Było nam bardzo smutno i ciężko. Wiedziałam, że dziadunio ceniał naszego tatę, cieszył się dobrobytem mamy i mówił:

– Wasz tato to pan – dobrze wydałem córkę. Zapominał, że mama sama się wydała za tatę.

Ze spuszczoneymi głowami wracaliśmy od listonosza do baraku. Skarżyliśmy się mamie, że jesteśmy tak bardzo głodni, oberwani i chorzy. Mama pocieszała nas i mówiła:

- Zobaczycie, pewnego dnia my też dostaniemy dużą paczkę i długi list. W końcu dostaliśmy paczkę! Nie potrafię opisać naszej radości. Emil wziął ją ostrożnie z rąk listonosza i niósł przed sobą. Marysia i ja chciałyśmy chociaż jej dotknąć. Bez słowa usiedliśmy do-

okoła mamy i patrzyliśmy, jak mama rozpakowuje ten skarb. Była to istotnie duża paczka. Przysłali dziaduniowie mąkę, cukier, słoninę, jakieś kielbaski i chustkę na głowę dla mamy, bo pisała, że bardzo boli ją głowa. Było lekarstwo – jodoform dla Euzebiusza i dla mnie na czyraki i list napisany przez dziadunia.

Z listu dowiedzieliśmy się, że dziaduniowie nic już prawie nie mają, że żyją pod strachem i grozą śmierci. Ukraińcy rozgrabili ich cały majątek, a im kazali wynosić się. Oni lada moment opuszczą dom. Teraz są sami. Wujka Mikołaja (najmłodszego brata mamy), wraz z wujenką i córką cioci Anastazji, Felą wywieźli Niemcy na roboty. Wujek Bolesław aresztowany przez Ukraińców i nie wiadomo co dalej się z nimi dzieje. Oni są otoczeni wrogimi Ukraińcami, Niemcami i Rosjanami.

Mama tak strasznie płakała, że nie mogła czytać. Euzebiusz wziął list i wolno czytał. Usłyszeliśmy, że nasze domy (stary i nowy) zrównane zostały z ziemią, stodoła, obory i zabudowania rozwalono i wywieziono. Pełna trupów studnia zawalona kamieniami, sad wycięty w pień, cały inwentarz rozszczony, lipowa aleja podzieliła los sadu, ule rozkradzione. Nic a nic nie zostało z naszego pięknego majątku.

To „morderstwo” na naszym gnieździe dokonało się jeszcze wówczas, gdy trzymano nas pod konwojem w Tysłuchowie i Zdołbunowie – zaledwie kilkadziesiąt kilometrów. Wszystko, co z takim trudem budowali rodzice przez 17 lat wspólnego życia, rozsypało się i przepadło w ciągu paru dni, jak po trzęsieniu ziemi.

Obie z Marysią płakałyśmy za ja-

blonką rosnącą blisko naszego pokoiku, zrywałyśmy soczyste jabłka wyciągając ręce przez okno. Gałązki wchodziły do pokoju.

Dom nasz budowano z myślą, by był wygodny i piękny. Były dwa wejścia, jedno „paradne” od wiśniowego sadu, a drugie kuchenne od podwórka. Z dwóch stron rozciągały się sady wiśniowo-morelowy i jabłkowy. Na wiosnę, w otoczeniu kwitnących drzew, dom wyglądał jak zaczarowany. Podczas budowy tato nie pozwolił ścinać rosnących w pobliżu drzew. Kazał wkomponować ganek między dwie lipy. Majster krzywił się i kręcił nosem, ale majstrów nie brakowało, a domów budowało się niewiele. Naprzeciwko paradnego ganku pod lipą postawił tato stół, gdzie w lecie jadalіśmy obiady.

Tato miał wielkie poczucie estetyki. Był zamiłowanym ogrodnikiem i sadownikiem. Zwoził sadzonki rzadkich drzew, krzewów ozdobnych i kwiatów. Sam je sadił i doglądał.

Teraz już nic nie zostało z tego, co dla mnie znaczyło „zawsze”. Przeleciał cyklon i zdmuchnął wszystko z ziemi, zostały zgliszcza i popiół.

Euzebiusz czytał, a mama płakała coraz bardziej. Żałowała, że oszczędzała, że nie kupiła sobie tego, na co miała ochotę, że nie jeździła tam, gdzie chciała być, że życie uciekło. Tato siedział smutny, lecz starał się mamę pocieszyć, próbował nawet wprowadzić trochę humoru, bo przypominał mamie, że różnie bywało z tym kupowaniem. Mama lubiła ubierać się ładnie i ilekroć wyjeżdżała do Dubna czy Łucka, zawsze coś ładnego sobie wypatrzyła i przywiozła. W domu okazywało się,

że to nie to co miało być. Tam w oświetlonym salonie wyglądało inaczej. Mama ubrana w piękną suknię czy kostium oglądała się w kryształowym lustrze i... kazała pakować. W domu przymierzała jeszcze raz i już nie była zachwycona.

– Spódnica jak dudka, a zakiet za luźny w pasie, ot, niepotrzebnie straciła pieniądze.

Niezadowolona wieszala nabytek do szafy i czekała na sposobność komu by go wcisnąć. Za nabywczynią rozglądała się w kościele. Ze swojej ławki, ukradkiem lustrowała sąsiadki i myślała: – choćby za pół ceny wypchnąć to z domu. Szkoda, że nie kupiła tego szafirowego kostiumu, był ładniejszy i elegantszy, a może by Borkowej wetknąć ten, ona jest tęższa i niższa, na nią będzie w sam raz. – Łapała się na tym, że zamiast się modlić „handluje” – zasłaniała ręką usta, bo ogarniał ją śmiech.

Teraz płakała, bo wszystko minęło, wszystko przepadło i nie odrobi się tego nawet jakby już wracali do domu, ale czy wrócą?

Tyle razy wyrzucała tacie, że wyjeżdżał na spotkania z Marszałkiem i legionistami tracąc na to furę pieniędzy. Niech by stracił nawet wszystko, przecież to, co mieli, zawdzięczał wyłącznie Naczelnikowi, nie ojcu, nie rodzinie, a właśnie Jemu, Komendantowi. A teraz nie ma do czego wracać, wszystko obrócone w perzynę. Tam mordują Ukraińcy, a tutaj – głód, choroby, wшы i pluskwy; komary i meszki wyżerają oczy i ciało do kości.

Tato uspakajał mamę, że gdy tylko wrócą, weźmie się ze zdwojoną energią do pracy i wszystko raz dwa odbudują

i nadrobiją.

– Jak, za co – pytała mama – Jesteśmy schorowani, stabi, a młodość uciekła. Jesteśmy bezsilni jak liście na wietrze, czyś ty widział, żeby zerwany liść wrócił na drzewo? Co zrobimy bez pomocy i pieniędzy z chorymi synami? Euzebiusz będzie kaleką. Gienio także. Emil jeszcze nie wyrósł, a już zgarbiał. Jakie życie nas czeka? Co damy naszym córkom? Tobie potrzebna operacja i odpoczynek. Czarno i smutno za nami i przed nami.

Na swoje dziecięce lata, Emil pracował najciężej. Ciągłe zwoził drzewo, lecz nie radził sobie ze złośliwymi szkapami. Ładował olbrzymie bale świerków na sanki lub tielegę, a kiedy już była załadowana i należało tylko umocować powrozami, konie zniemacka ostro szarpały do przodu i cała ciężka praca chłopca momentalnie znajdowała się w błocie. Chabety uciekały kilkanaście metrów i stawały. One wiedziały, że nie prędko pociągną ciężar, także ponad ich siły. Emil płakał, bił je, starał się cofnąć, lecz na próżno. Konie również ratowały się przed zagładą. Musiał biedny chłopczyzna brnąć po pas w śniegu lub błocie i zrywać swoje wątle ramiona. Ileż on się napłakał, ile namęczył, a *brygadir* zapisywał *progul* i nic go nie obchodziło, że dziecko nie radzi sobie. Chciał pracować, niech pracuje, *Moskwa szłam nie wierit*.

Więcej paczek nie dostaliśmy. Po kilku miesiącach przyszedł jeszcze list, ale już nie od dziadunia, lecz od Lupy. Pisał, że dziaduniowie zmuszeni byli uciekać z majątku, bo ktoś z Ukraińców uprzedził, że mają ich zabić.

Dziadunio zachorował na zapalenie płuc. Zwłóknął się z pościeli i poszli z babunią pod osłoną nocy z Białego Ługu na Janówkę do dalszej rodziny. Babunia przypominała sobie, że Bobuś – podhalański olbrzym, został na uwięzi, wróciła i spuściła psa. W tym momencie zaskoczyli ją Ukraińcy i zamordowali, pozostawiając ciało na podwórzu. Dwa dni leżała nie pogrzebana i tylko rozpaczliwe wycie psa zwiastowało tragedię. Potem, czyjeś liतोściwe ręce pochowały babunię pod lasem. Dziadunio nie doczekawszy się babuni, umarł w parę dni później.

Zabili ją ci, których znała i wspomagała, karmiła, nosiła upominki, gdy się żenili, modliła, gdy umierali. Razem z nimi przeżywała ich radości i smutki. Chodziła do ich kurnych chat z dobrym słowem, lekarstwami i wsparciem. Wycierała nosy i leczyła kaprawe oczy u dzieci i starców, uczyła czystości, parzyła ziółka. Gdy zmęczeni wracali z pola wynosiła im swoje przepyszne *pampuszki* i *hładyszke* śmietany. Pozwalała rwać owoce w swoim sadzie, wspierała na przednówku.

Ciocie Marcelinę i wujka zamordował jej mleczny syn. Wykarmiła go własną piersią, bo jego ukraińska matka zachorowała i straciła pokarm, gdy się urodził i dziecku groziła śmierć. Ciocia miała małego Witka, więc karmiła obu. O losach reszty rodziny nie wiedział Lupa niczego.

Mama stała się apatyczna. Załamała się. Tacie bezsilność odbierała chęć do życia. Chodził do roboty do lasu, brzuch go bolał coraz częściej i coraz dłużej, męczyła go gorączka, a on pracował i nikomu się nie żalił. Przycho-

dził z lasu, jadł coś obrzydliwego i kładł się na pryczę i długo nie mógł zasnąć.

Ja zrobiłam się zła i klęłam. Biłam się z dziewczynkami i chłopcami, wyzywałam ich plugawymi słowami, oni mnie także. Kiedyś bawiłam się z Zosią Nockówną. Tę „zabawę” usłyszał i zobaczył tato. Stał i słuchał jakimi słowami wyraża się jego „pańskie dziecko”. Przekleństwa znałam świetnie w dwóch językach. Podszedł do mnie i cicho zawołał. Zatrzymałam swego „konia” (Zosia była narowistym koniem, a ja wozakiem i nie mogąc jej zaprząć klęłam tak samo jak robili to oni). Na dźwięk głosu taty drgnęłam, chciałam zapaść się pod ziemię. Rzuciłam „lejce” i puściłam się przed siebie. Nie bałam się bicia, lecz było mi wstyd, było mi tak strasznie wstyd, że chciałam natychmiast przestać żyć, żeby nie spojrzeć na taty twarz.

Tato dogonił mnie i wziął na ręce. Usiadł na zwalonych kłodach i mocno trzymał mnie na kolanach. Długo nic nie mówił. Szarpnęłam się, chciałam uciec, ale tato nie puścił mnie. Uspokoiliłam się i zrezygnowałam z ucieczki. Tato przyciskał swoją twarz do mojej – mokrej od jego łez... Kołysał mnie i szeptał we włosy:

– Moja córeczka, moje pańskie dziecko – a jego łzy kapały mi na włosy i szyję. Nie wiem jak długo tak siedzieliśmy. Na koniec tato powiedział:

– Chodźmy, bo pewno mama ugotowała już coś dobrego. Trzymał mnie za rękę i razem weszliśmy do baraku. Mama spojrzała na mnie i nie odezwała się. Wiedziała, że klnę, nie gorzej od koniuchów. Tacie nigdy nie mówiła o naszych przewinieniach.

To „dobre” co mama ugotowała, to była lebioda z grzybami zabelona resztką babuniowej mąki. Znienawidziłam grzyby i nigdy dobrowolnie ich nie zbierałam.

Nagle dowiedzieliśmy się, że pomiędzy Związkiem Radzieckim a Niemcami wybuchła wojna. Nastroje wśród Polaków były różne. Wszyscy głośno mówili o pakcie między dwoma wódzami. Ogłoszono powszechną mobilizację. Nawet tutaj pojawiły się plakaty: *Mat' rodina zawiot*. Jeden z pierwszych poszedł komendant Tropin, poszli *lesoruby* i koniuchy.

Stasia odwiozła swego Tropina aż do Czerewkowa. Wróciła i nadal sprzątała komendanturę. Kobiety mówiły, że Rogaczow, nasz nowy komendant, kulawy i bez oka – też jest młody... Wielu Polaków zgłaszało się na wojnę lecz władze nie bardzo przyjmowały zesłańców do *doblesnoj krasnoj*.

Tato nadal pracował w lesie, a mama na sianokosach. Była chuda, siwa i przygarbiona, ciągle kasłała, bolało ją w piersiach i bez ustanku – głowa. Ledwo żyła. Euzebiusz, pomimo zaawansowanej gruźlicy kości, numerował drwalom ścięte drzewo. Powłóczył lewą nogą i nie skarżył się. Wieczorami dostawał gorączki. Mama zasypywała jodoformem jego rany w pachwinach i całowała baniaste kolano.

Gienio rzadko wstawał z pryczy. Wychudzony był do tego stopnia, że nawet ja mogłam w pasie objąć go dłońmi. Emil ciągle zwoził „las”. Wszyscy byliśmy chudzi i głodni.

Marysia i ja chodziłyśmy do szkoły. Siedziałam w jednej ławce z Kolą Szabanowym. Był to miły chłopiec, pożyczął mi kredki i ołówek. Nie dokuczał

mi ze względu na moją chorą twarz. Czasami dawał mi kawałek czarnego placka upieczonego po prostu na płycie. Kiedyś podarował mi piękną czerwoniutką, dwukopiejkową monetę. Bawiłam się nią i gdzieś mi się zgubiła. Zaczęłam szukać i nie mogąc jej znaleźć płakałam ciężkimi łzami. Za dwie kopiejki nic a nic nie można było kupić, ale były moje, a ja niczego własnego nie miałam. Bardzo chciałam mieć je na własność. Nauczycielka zainteresowała się czemu tak płaczę i cała klasa szukała mojej zguby, choć za nic w świecie nie chciałam się przyznać, że płaczę po stracie bezwartościowej monety. Dzieci dawały mi swoje dwie kopiejki i nawet trzy kopiejkowe monety, ale nie chciałam niczyjej, zależało mi na mojej i dalej szlochałam. Nagle ktoś odsunął ławkę i zobaczyłam śliczną błyszczącą monetę. Chwyciłam ją i połknęłam, i... nigdy jej nie odnalazłam... Kola i ja rywalizowaliśmy o stopnie. Byliśmy *otlicznikami*. Zależało mi na dobrych stopniach, bo na koniec roku dostawałam ciastka i cukierki w nagrodę.

Kola chwalił się, że jego tato jest *brygadirom* i że bardzo lubi mojego tatę, bo najlepiej pracuje.

Nasz tato mówił, że Szabanow to „ludzki” człowiek i nie jest tutaj z własnej woli. Nie był w łagrach, lecz musiał w tajdze odrabiać „przewinie nie”. Wielu było takich Rosjan na Obilu. Tropin też nie z własnego wyboru był w tajdze komendantem nad Polakami. Czasami przynosiłam tacie jedzenie, jakie mama zrobiła. Zwykle były to grzyby z lebiodą lub lebioda z grzybami. Tato mieszał łyżką i wolno jadł jakby mu rosło w ustach. Obok

siedział Szabanow i o czymś rozmawiali. Tato nie nauczył się rosyjskiego, ale porozumieć się potrafił z każdym i nawet przedstawić swoje racje. Szabanow patrzył, że tato nie może przełknąć jedzenia i spytał dlaczego mama tak źle gotuje. Tato zachnął się i wykrzyknął:

Człowieku, moja żona gotując barszcz dodawała aż trzydzieści przypraw, to był barszcz sławny na całą osadę.

Pewnego ranka wstałam i powiedziałam, że miałam piękny sen. Śniło mi się, że jesteśmy w domu i że były moje urodziny. Mama wzięła nas i pojechaliśmy na defiladę do Dubna. Byli ułani na koniach i było mnóstwo białoczerwonych sztandarów i chorągwi, a orkiestra grała marsza legionistów.

Tato i mama popatrzyli na siebie i na mnie. Tato powiedział:

– Obyś miała proroczy sen, córeczko. – Nic jednak w naszym życiu się nie zmieniło. Nędza dziesiątkowała Polaków.

Brzydką, zimną jesienią przyszedł tato z lasu podniecony i radosny. W takim nastroju nie widziałam go tutaj. Mokrą uszanke rzucił na kufer, nie zdjął kufajki, tylko chwycił mamę i okręcił dookoła. Patrzyliśmy na tatę jakby urzeczeni, a Fajfer powiedział:

– Co to Tais taki wesolutki, „wróbla” znalazł czy co? (wróbel-rubel). Tato nic nie powiedział, posadził mnie i Marysię na kolana (dawno tego nie robił), tulił i uśmiechał się. Wieczorem przybiegli starostowie z komendatury i zwotywali Polaków na zebranie. Rogaczow oznajmił, że będzie się tworzyć polska armia i wszyscy chętni mogą do

niej wstępować. Można też będzie wracać do Polski, jak tylko niepokonana *krasnaja armija* przepędzi przeklętych *gitlerowców*. Nikt nie spał tej nocy. Wszyscy się cieszyli, palili ogniska, śpiewali i płakali. Zdawało się, że już, już, a będziemy w Polsce...

Tato już rano wiedział o tym od Szabanowa, stąd była ta radość, ale dał słowo, że nikomu o tym nie powie. Teraz cieszyli się wszyscy. Tato zmieniał się, odmłodził, rozmawiał z nimi, snuł plany, często się uśmiechał. Szykował się do powrotu, gwizdał swoje legionowe piosenki. Można było „wracać”, ale jak, czym, na czym i za co? Teraz nie było już ani podwód, ani żadnej organizacji, która by się zajęła sprawą powrotu, a tu wielkimi krokami zbliżała się syberyjska zima. Nie mieliśmy zapasów żywności, ani pieniędzy, ani butów, ani ubrań. Wszystko zaczynało się od „ani...”. Jak więc wracać? O to już nie martwiły się władze. Rosjanie zdawali sobie sprawę, że Polacy lawiną ruszą z lasów, kto więc będzie wyrąbywał tajgę?

Niemcy parli *doblesnuju* w głąb kraju, kto mógł utrzymać karabin na parcianym sznurku, siedł na front, nawet lżejsi *zakluczonyje* też byli kierowani na wojnę.

Mimo to Obil ożywił się. Ludzie biegali jedni do drugich, szukali sposobów wydostania się z tajgi.

Ciągle ktoś umierał... W naszym baraku umarło rodzeństwo Zająców – Tadzio i Emilka. Zającowie mieli czworo dzieci, z których Tadzika i Emilki nie cierpiała matka. Tadeusz odmroził sobie nogi i palce zaatakowała gangrena. Marusia smarując je *margancowką* obcinała nożyczkami czarne

paluchy nieszczęsnego Tadzia, a on jęczał żałośnie i nieśmiało wołał:

– Mamo, mamo matka podchodziła i mówiła:

– Taki stary koń, a mamy chce, wstydziłbyś się.

Nie wytrzymała tego pani Bieniowa i leżąc na pryczy ze złamaną nogą zawołała:

– A cóż z pani za matka, nie widzi pani, że to dziecko umiera? Podejdz do syna, kobieto, przytul jego głowę, niech umrze w wierze, że miał matkę.

Wszyscy spojrzeli na rudą tłustą Zającową. Ona podeszła do Tadzia z miną jakby widziała rozjechaną ropuchę i mówiła:

– Dobrze, już dobrze. – Tadzio zamknął oczy i umarł. Zagłodzona Emilka miała gruźlicę. Już nie mogła chodzić. Leżała na dolnej pryczy z nogami spuszczone w dół i mówiła pacierz. Głośno modliła się za wszystkich, a najczęściej wymieniała matkę. Matka siedziała na górnej pryczy i nie odzywała się. Znow nie wytrzymały nerwy pani Bieniowej.

– Pomóż umrzeć swemu dziecku, kobieto. Nie słyszysz, że modli się za ciebie. Czy prócz serca uszu też nie masz?

Zając zszedł z pryczy i nachylił się nad Emilką, lecz ona już nie zawołała matki. W baraku nastała cisza. Wszyscy usłyszeli pytanie Zającowej:

– Już? – Głośno i dobitnie odpowiedziała pani Bieniowa:

– Tak, już. Poszło dziecko szukać Boga, bo matki nie znalazło. Zając podbiegł do pryczy pani Bieniowej i chciał ją uderzyć, a wtedy zszedł z pryczy Bień, bez słowa wyprostował się i stał jak halabardnik. Bień miał

dwa metry wzrostu, a Zając był malutki więc zakręcił się i wrócił.

Odprowadziliśmy i Emilkę na cmentarną górkę... Głód i nędra zmieniła ludzkie serca w twarde glazy.

Codziennie przybywało mogił, lecz żywi szykowali się do Polski. Wtedy zebrał Polaków pan Karoliński. Podawał się za siodlarza, lecz tato wiedział, że jest oficerem, gdyby to wiedzieli Rosjanie nie byłby z rodziną na Obilu lecz w ciężkich łągrach, jak ci, których zabrano poprzedniej wiosny. Pan Karoliński powiedział:

Wybieramy się do Polski, kto wróci, nie wiadomo. Co będzie z naszymi grobami? Pomyślmy o tych, co tu nad Obilem zostaną. Proponuję ogrodzić cmentarz i postawić wspólny krzyż.

Na ten apel zgłosili się wszyscy. Mimo, że roboty na cmentarzu trzeba było wykonywać po całodzienną ciężką pracę w lesie, nikt się nie ościagał. Przez kilka dni do późnej nocy, przy kagankach i łuczywach rozlegał się stukot toporów i zawodzenie pił. Na koniec poszliśmy na cmentarz pożegnać tych, co nie wrócą. Poprzez gałęzie drzew, z daleka, widniał biały świerkowy krzyż. Na ten cel wybrano chyba największe i najgrubsze świerki. Wkopany głęboko w ziemię i obłożony kamieniami krzyż, stał mocno i swymi potężnymi, rozpostartymi ramionami obejmował dziewięćdziesiąt sześć polskich mogił. U stóp krzyża, przybito tablicę z nazwiskami i imionami tych, co na zawsze zostali. Nikt nie płakał. Zebrani stali i milczeli, teraz dopiero zdali sobie sprawę, jak ogromny jest ten nowopowstały cmentarz. Ktoś ukląkł, a za nim klękali pozostali i głośno się modlili. Teraz płakali, po-

chylali głowy i boleśnie szlochali. Pierwszy z klęczek wstał pan Karoliński i drżącym głosem dziękował wszystkim za pracę i okazane serce.

– Niech pozostają z Bogiem – powiedział.

Był bardzo zimny wieczór, siąpił deszcz i wiał wiatr. Z gorzkimi myślami wracali ludzie do baraków, trzeba było myśleć o wyjeździe z Obilu.

My też zaczęliśmy sposobić się do powrotu. Euzebiusz poprosił rodziców, aby puścili go samego. Wybierze się do Taszkientu. Nie chce być dla nas ciężarem w drodze. Stamtąd chciałby przedostać się z Armią Andersa do Iranu i do Anglii, aby się leczyć. Mama tuliła jego kędzierzawą głowę do piersi, kresliła znak krzyża na czole i płakała. Co miała mu powiedzieć, jak usprawiedliwić się, że puszcza samego kalekę w drogę nie do przebycia... Tato objął mocno podpartego kulami syna, swoją dumę i chlębę, postać chwilę i wyszedł bez słowa.

Zgubiliśmy się na przeszło dziesięć lat. Brat nie szukał nas, spotkałam go przypadkiem. Studiował na wydziale handlu zagranicznego w Szkole Głównej Służby Zagranicznej w 1952 roku. Nie miał lewej nogi i nie był to mój kochany „Iziunio” jak nazywałam go w dzieciństwie. Zmienił się nie do poznania i zmienił swój życiorys... Już nie był synem legionisty. Mama długo nie mogła wybaczyć mu pochodzenia „małorolnego” chłopca. Cierpiała nad tym, że Euzebiusz, z którego tato był dumny do końca, wyparł się go. W nowej, powojennej rzeczywistości, nie było miejsca dla dzieci osadników wojskowych z kresów Polski...

Mój brat niewiele opowiadał



o sobie. Ze strzepów jego słów dowiedziałam się, że w Taszkencie było istne piekło. Kazachstan, Uzbekistan – to nie tajga z jagodami i grzybami. To pustynia i piach; burzan i ciernie raniące stopy do krwi, zabójcza susza i pragnienie. Tam, wszystko co żyło, cierpiało głód. Z głodem w Taszkencie nie można porównać głodowania na Obilu. Ludzie nie byli ludźmi, nie liczyli się ani rodzice ani dzieci. Były to głodne bestie nienawidzące się nawzajem. W większej części wymarła tam rodzina Berchertów: pierwsza umarła pani Konstancja Berchertowa, jej synowie Władek i Wicio, córeczka Fela, siostra Antonina. Cudem przetrwali: Janka, niespełniona miłość Tropina, Bronia, Jadzia i Edek. Ojciec zostawił ich i poszedł z Armią Andersa do Iranu. Bronia leżała w szpitalu, Jadzia i Edek wyjechali z polską ochronką do Anglii, a Janka poszła do drugiej polskiej armii. Po wojnie Janka i Bronia zamieszkały w Dubnie, Jadzia i Edek w Anglii. Nie wróciło dawne życie i dawni sąsiedzi. Zamknęła się tamta epoka. Skończyło się cudowne dzieciństwo. Przepadło wszystko, co było dobre...

Polacy gremialnie opuszczali Obil. Po drodze bez krzyży i napisów, zostawały trupy. W połowie października wyruszyliśmy i my. Nikt nas nie wiozł, co prawda nie było co wieźć z powrotem, ale i sił nie starczało nieść to, co zostało. Jak długo można iść w chlupiących błotem łapciach i w zacinającym w twarz deszczu ze śniegiem. O głodzie i chłodzie nieśliśmy w zgrabiących rękach toboły i padali ze zmęczenia.

Z kilkoma rodzinami udało się wy-

nając traktor lecz tylko na parę godzin. Dalej traktorzyście nie było po drodze, wyrzucił więc toboły w błoto i odjechał z całym zapasem naszych pieniędzy. Wlekleśmy się noga za nogą i we czwórkę dźwigaliśmy prawie pusty kufer. Na noclegi nie wpuszczano nas do domów. Gdziekolwiek pukaliśmy, wszędzie słyszeliśmy jedną i tę samą odpowiedź *nielzia*.

Gienio szedł z tyłu za nami. Był jak cień. Nie nadązał i został. Tato nawet nie zauważył braku syna. Był zamyślny i nieobecny. Wlekleśmy się w milczeniu i płakali skrycie. Weszliśmy na most. Tato spojrzął na nas, na naszą golgotę i zepchnął do rzeki stary, pamiątkowy, z resztką zawartych w nim wspomnień mamy kufer...

Wszystkie drzwi nadal były na głucho zamknięte przed nami. Niekiedy otwierało się jakieś okienko i zły kobiecy głos przepędzał nas i kazał się nam wynosić, bo napytamy im samej biedy. Był surowy zakaz wpuszczania Polaków i użyczania noclegów za to, że nie chcieli zostać i pracować w tajdze. Wchodziliśmy potajemnie do opuszczonych szop lub baraków i tam szczękając zębami tuliliśmy się do siebie. Próbowaliśmy zasnąć. Głód i zimno nie pozwalały na to. Nie mieliśmy pieniędzy, nie było co jeść i co wymienić choćby na jeden kartofel. Obie z mamą zaczęłyśmy żebrać. Niewiele dostawałyśmy, ale choć trochę ogrzałyśmy się w ciepłych chatkach. Stałam przy drzwiach na lśniącym czystym podłodze i lękałam ślinę ile razy młoda Rosjanka brała kęs do ust. Dziewczyna poprosiła o *szanęę*, wtedy matka powiedziała, że był tu jakiś młody *parniszka*, który bez pytania wlaź na piec, ogrzał się, zabrał

*szańgi* i poszedł sobie. Córka ciągle jadła kartofle w mundurkach i powiedziała:

– Widocznie był w biedzie, wziął *szańgi no i Boh z nim*. Zdziwiłam się, że nie była wściekła. Po opisie mama domyśliła się, że to był Gienio, ucieczyła się, że żyje. Z mizernym rezultatem wróciliśmy do szopy, gdzie szczękając zębami leżeli tato, Emil i Marysia.

Tato znów popadł w melancholię. Niósł toboły i milczał. Żebrząc i kradnąc, lecz ciągle głodni i u kresu sił fizycznych i psychicznych dobrnęliśmy do Czerewkowa. W Czerewkowie okazało się, że jest pełno Polaków i władze zupełnie nie interesują się nimi. Nie wiedzieliśmy, co mamy robić. Nie było gdzie się podziać, ani z czego żyć. Dorośli nie otrzymywali żadnej pracy. Żebrzących nie wpuszczano za próg, kradnących łapano i zamykano w *łagrach*. Szkoły były zajęte. Odbываły się normalne lekcje. Tym razem dzieci rosyjskie nie miały już „wakacji” jak półtora roku temu.

Na dworze robiło się coraz zimniej. Drogi zaniósł śniegiem, rzeki i bajora skuł lód. Zrozpaczeni rodzice nie mogąc zarobić, ani wybrać czegokolwiek opuszczali swoje dzieci. Takich dwoje płaczących na mrozie – Bronka i Marysię Ptaków, znalazł nasz tato i zaprowadził do NKWD, zajęły się nimi władze.

Sam biegał i szukał pracy. W szopach było nie do wytrzymania, a iść dalej nie sposób. W każdym urzę-

dzie, kołchozie czy sowchozie odpowiadano: *raboty niet*. Nie było możliwości przekroczyć nakazu nieprzyjmowania Polaków do pracy. Wyżebrane przeze mnie i mamę jedzenie odwlekało głodową śmierć.

W jednym domu (też byliśmy po prośbie), *zła komsomolka* powiedziała do mamy, że trzeba pracować, a nie żebrać, bo to nie *priliczna* i że u nich *niszczich niet*. Ja słaniałam się na nogach. Usiadłam na ciepłej podłodze i zakryłam rękami oczy. Nie mogłam patrzeć, że ona je. W środku skręcało mnie i mdliło. Jeszcze moment, a mogłabym rzucić się i wyrwać jej te nędzne kartofle.

*Komsomolka* pouczała mamę, iż nie wolno tak wychowywać dzieci, co ze mnie wyrosnie, jeżeli będę żebrać zamiast się uczyć i czemu to ja nie chodzę do szkoły.

Mama zamierzała ostro jej odpowiedzieć, iż widzi, że z tej pracy to stać ją jedynie na kartofle w „mundurkach”, lecz zaniechała tego. Powiedziała tylko, że od przeszło tygodnia tato biega i szuka pracy i wszędzie odpowiadają, że nie ma roboty. Ona zrobiła zdziwioną minę i zaproponowała, żeby tato przyszedł rano do *zawsowchozu* (naczelnika), gdyż brakuje im mężczyzn i na pewno tatę przyjmą, bo to jakieś nieporozumienie.

Rankiem pobiegł tato do biura sowchozu, w którym był kilkakrotnie przedtem i dzięki wstawiennictwu *komsomolki* dostał pracę.